

# Na wulkanie

**Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO**  
na tle ostatnich rozgłosnych wypadków  
w Królestwie Polskiem.

34

Ciąg dalszy.

Więc precz ze separatyzmem! precz z narodowością! precz z Polską! My, robotnicy, my socjaliści, demokraci, zdepczemy nacyonalistyczne zachcianki polskie, a tego ich orła białego, a dzisiajszą gęś białą, upieczemy na ogniu. Hej towarzysze wspólnie: precz z Polską! precz z białą gęsią!

— Współczuję z wami — rzekł Kola, ściskając rękę Porwy — sam wtoczyłbym mu w gardło te podłe słowa.

— Obłęd towarzyszu — odpowiedział Porwa — i tem się pocieszam, że takich warcholów jest garstka, ona uschnie i odpadnie od narodu... Cóż towarzyszo — zwrócił się do Logiki — czy tamten z Brackiej był wyjątkiem?

— Zważcie, że taki dzień podnieca, upaja, oni nie liczą się ze słowami — odpowiedziała dość cierpko Logika.

Porwa przecisnął się do schodów i wreszcie stanął na t. zw. mównicy.

— Towarzysze! — zawołał wielkim głosem, a gdy się cokolwiek uciszyło, mówił: — święcimy dziś dzień wolności. Głośno i swobodnie rzucamy nasze hasła... ale są nasi towarzysze, którzy jęczą w lochach więziennych, dla których nie zaświtało słowko wolności. Idźmy do nich, niech posłyszają naszą pieśń zwycięską, żądajmy ich uwolnienia, bo dziś dzień prawa, a oni bezprawnie są więźniami! Naprzód towarzysze! Do ratusza po więźniów! Naprzód!

— Naprzód!... Do ratusza! — wyrwał się okrzyk z tysiąca piersi i jak grzmot w górach rozbija się tysięcznym echem, tak i hasło: po więźniów! doleciało do wszystkich dzielnic i wstrząsnęło całym miastem.

Ktoś z tłumu krzyknął:

— Zabierzmy muzykę z cyrku!

— Naprzód!... Z muzyką!... To nasz dzień!... Dzień wesela!... Dzień wolności!

Olbrzymi pochód z czerwonymi sztandarami wyruszył i rozlało się mrowie ludzkie na placu Wareckim.

Część publiczności poszła na Ordynacką po muzykę cyrkową. A gdy mimo szumu i gwaru głosów ludzkich zabrzmiała muzyka ognistej marsylianki, cały tłum ludu przez Warecką, Świętokrzyską i Chmielną ruszył na Nowy Świat.

Gdy muzyka skończyła Marsyliankę, zawołano „Czerwony Sztandar“. Wszystkie okna były oświetlone, tak że na ulicy, mimo zapadłej nocy, było jasno i widno.

Wszystkimi ulicami spieszyły tłumy na Plac teatralny i jedno tylko słowo zabrzmiało tonem groźnej prośby:

— Więźniów!... Więźniów!

Oberpolicmajster spojrział przez okno na nieprzejrzaną mrowie głów ludzkich, obliczył słabe siły rezerwowej policji w ratuszu i telefonował do Czerniejewa:

— Stosownie do rozkazu, kazałem z cyrkulowanych więzień wypuścić aresztowanych manifestantów, teraz tłum żąda wypuszczenia więźniów z ratusza. Co robić?

— Zatrzymać skazanych wyrokiem, innych według uznania pańskiego wypuścić.

A za oknami, na Placu, coraz głośniejszemu lud woła:

— Więźniów!... Więźniów!

I nagle padło słowo radosne:

— Idą!... Wolni!

W jednej chwili utworzono szpaler od ratusza ku Wierzbowej. Ciężkie wrota zgrzytnęły i ukazało się pierwszych trzech więźniów, wprawdzie bladych, zmęczonych, lecz z twarzą rozradowaną, jaśniejącą.

Co bliżsi porwali ich w objęcia i wzniosł się okrzyk tryumfu i szczęścia:

Niech żyje wolność!

Tysięczne głosy powtórzyły go i w tej chwili na oświetlonym tarasie Teatru Wielkiego pojawili się wszyscy artyści i zabrzmiały wspaniały hymn narodowy: „Boże, coś Polskę“.

I teraz, jak zawsze, uczucie narodowe odniosło tryumf nad wyrozumowaniami przekonaniem i całą olbrzymią falą chwytając ton i słowa i rozbrzmiewała wspaniałą pieśń. Podwoje ratusza otwierały się co kilka minut i wychodzili więźniowie a setki

matek, sióstr, kochanek, ojców i braci wypatrywały z utęsknieniem, kiedy zjawia się więzień ukochany. Z tarasu teatralnego wzniosła się pieśń robotnicza: „Czerwony Sztandar“.

Z bramy ratusza wyszła sama jedna Wanda.

Zaledwie miała czas spojrzeć na rozspiewany i rozkołysany tłum swemi błyszczącymi szczęściem i radością oczyma, gdy otoczyli ją Logika, Bal, Kola, Porwa i niemal niesli ją przez szpaler ku Wierzbowej. Już byli blisko rogu Niecałej, gdy z tłumu wyrwał się radosny głos:

— Błyskawica!

Był to zwrotniczy w towarzystwie kolejarzy, szybko zbliżył się do Wandy, uściśnął jej rękę i pochwytywszy podniósł w górę, wołając:

— Wiwat Błyskawica! — a okrzyk ten pochwylił tłum i zewsząd zabrzmiało:

— Wiwat Błyskawica!

Wreszcie udało się Porwie i Balowi dostać Wandę w swą opiekę a troskliwa Logika zapytała:

— Głodnaś może?

— Nie, tylko umyć i oczyścić się z robactwa... Czy rząd padł? — zwróciła się do brata.

— Jeszcze nie, ale jest na najlepszej drodze — uśmiechnął się.

Zbliżali się do Czystej, gdy uszu ich doleciał tysięczny głos:

— Więźniów!... Więźniów!

Brama ratusza została zamknięta. Co gorętsi zaczęli napierać, a na samym przedzie szła Gwalberska, blada, drżąca, pomiędzy nadzieją i rozpaczą. Kordon policji przed bramą z najeżonymi bagnetami powstrzymywał napór. Gwalberska rzuciła się pomiędzy bagnety, ukłękła i wołała rozpaczliwie:

— Syna mi oddajcie!... Puśćcie mnie do niego!...

— Przepuścić staruchę — rozkazał starszy — nieszkodliwa.

Zebrany tłum począł się niecierpliwić, wreszcie jeden z mówców proponował wysłanie delegatów do oberpolicmajstra.

Trzech ofiarowało się pójść a inni poczęli uspokajać publiczność, aby czekała cierpliwie. Trzech wybranych przepuścił kordon policji, weszli w dziedziniec i po schodach jasno oświetlonych poprowadzono ich do sali na pierwszym piętrze. Po krótkim oczekiwaniu otworzyły się z trzaskiem boczne drzwi i wszedł oberpolicmajster wraz z dwoma urzędnikami do sali.

Na twarzy miał uśmiech łaskawy, starał się być spokojnym, ale z nerwowych drgnień oczu, z gorączkowego ruchu ręki, bawiącej się monoklem, widać było rozdrażnienie i niepewność.

— Czego chcą panowie? — spytał po polsku trzech robotników.

— Ogłoszona konstytucja zapewnia wolność obywatelską, wolność słowa i zgromadzeń, więźniowie, aresztowani za udział w zgromadzeniach, w manifestacjach i za posiadanie pism wolnych, powinni być wolni — odpowiedział śmiałym i pewnym głosem jeden z robotników.

— Aresztowanych z tego rodzaju przekroczenia już wypuściliśmy — rzekł oberpolicmajster uśmiechnięty.

— Lud żąda uwolnienia wszystkich więźniów politycznych — odezwał się chmurnie drugi robotnik.

— Tych, których policja aresztowała, kazałem uwolnić, bo mam prawo do tego, ale innych nie ja aresztowałem, lecz inne władze, tych nie mogę wypuścić mimo najlepszych chęci.

— My jednak, jako delegaci ludu, prosimy o uwolnienie — rzekł robotnik — upoważnia nas do tego konstytucja i wola zgromadzonego ludu.

— Być może, że wszyscy polityczni będą uwolnieni, ale dopiero muszę się porozumieć z władzami. Teraz już blisko dziesiąta, za późno, urzędy zamknięte... Zgłoszcie się panowie jutro, dziś więcej więźniów nie mogę wypuścić.

— Czy to ostatnie słowo? — spytano.

— Tak jest... i starajcie się panowie uspokoić publiczność.

Delegaci zawiadomili zgromadzonych o odpowiedzi oberpolicmajstra. Wielu uznało słuszność naczelnika policji i zaczęli namawiać do rozejścia się. Tłum począł rzednąć i zmniejszać się. Na mównicach zjawiali się mówcy i poczęli gorąco przemawiać za uwolnieniem cierpiących więźniów. To podnieciło przygasający zapał i jak huk grzmotu rozległy się na placu wołania:

— Więźniów! Więźniów!

Ktoś z tłumu zawołał:

— Nie ruszmy się bez więźniów! — które to słowa przyjęto oklaskami.

\* Zawrzało w tłumie, padały słowa groźby, przekleństwa, groźne okrzyki... Oberpolicmajster spojrział z goryczą na kłębiący się tłum. Przyszyczałony do uległości i posłuszeństwa mieszkańców na samo skinienie, do pokory na sam widok munduru i natychmiastowego rozpraszania się na groźną minę... dziś dożył tej chwili, że motłoch wysłał delegatów, z którymi on musi grzecznie paktować, a przed budynkiem władzy robotnicy manifestują i głośno objawiają swą wolę.

A jeśli tłum rozbroi kordon, wpadnie do ratusza? Nadśluchiwał. Z placu teatralnego brzmiał groźny pomruk ludu. Telefonował do Czerniejewa:

— Wypuściliśmy aresztowanych manifestantów. Tłum się odgraża i żąda uwolnienia reszty więźniów.

Zamiast nieobecnego Czerniejewa odpowiedział Gołubiew:

— Czy ma pan rezerwę policji?

— Pod bronią mam pięćdziesięciu żołnierzy, zabroniłem strzelać.

— Tłum jest wielki?

— Do dziesięciu tysięcy.

— Wezwij pan wojsko.

— Zrobię to na wyraźny rozkaz ekscelencji...

Po krótkim milczeniu zatelefonował Gołubiew:

— Z rozkazu ekscelencji, ze względu na jawny bunt, wezwij pan huzarów i kozaków do rozpróśnięcia tłumu. Uderzyć ostro i skończyć z anarchią.

Oberpolicmajster dla wszelkiej pewności zanotował sobie na piśmie otrzymany rozkaz, godzinę i minutę telefonowania. Spojrzął przez okno na tłum zebrany. W kilku miejscach na podwyższeniu przemawiali mówcy, lecz słuchali ich tylko bliscy sąsiedzi. Główna masa ludzi, znudzona oczekiwaniem, skracając sobie czas conceptami na temat nocowania na Placu, a tylko kilkunastu gorętszych klóciło się z kordonem policji, żądając wejścia do ratusza. Ktoś dostrzegł sylwetkę oberpolicmajstra w oknie i zawołał:

— Oberpolicmajster trzyma więźniów, a my jego uwięzimy.

Rozległy się śmiechy.

Podszedł do telefonu i złączywszy się z pogotowiem wojskowym mówił:

— Z rozkazu jego ekscelencji, proszę o przesłanie huzarów i kozaków celem rozpróśnięcia zbuntowanego tłumu.

Odłożył trąbkę telefoniczną, usiadł na wygodnym fotelu i zapalił papierosa.

Żądanie oberpolicmajstra wydało się komendantowi tak dziwnym w ten pierwszy dzień konstytucji w obec dozwolonych manifestacji, że zwrócił się o potwierdzenie rozkazu do kancelarii generał-gubernatora Czerniejewa. W imieniu nieobecnego odtelefonował Gołubiew:

— W obec anarchii i wyzywającej postawy tłumu zbuntowanego, otoczyć tłum huzarami od Wierzbowej, a kozakami od Bielańskiej i rozpróścić.

Oberpolicmajster nadśluchiwał, lecz od dołu dochodził tylko gwar głosów. Wstał i spojrzął przez okno. W tej chwili od Wierzbowej zjawili się czwórkami huzarzy. Publiczność, zobaczywszy wojsko, poczęła bić brawo i wołać?

— Wiwat wojsko! Wiwat lud!

Oficer jadący na przodzie nie odpowiedział ukłonem na powitanie, tylko zakomenderował rozciągnięcie się w linię. W tej chwili od Bielańskiej zjawili się kozacy, dobrze znani publiczności, która gwałtowną falą rzuciła się do ucieczki z Bielańskiej na Plac Teatralny i na Senatorską. Równocześnie z okrzykami kozaków, huzarzy z obnażonymi pałaszami natarli ławą na publiczność.

Cały plac zawył okrzykiem zgrozy i przerażenia. Wzmagął się ścisk, tłok, parcie. Kto słaby to padał, a rozdzierający krzyk dzieci, kobiet drgał bolesnym obłąkaniem. Nad tą zwałą ludzi migwały się w świetle latarń błyszczące pałasze huzarów, świst nahajek kozackich. W kilka minut „oczyszczono“ Plac Teatralny, na którym zostały trupy i ciężko ranni, a publiczność oszołomiona tym nagłym i niespodziewanym napadem ratowała się ucieczką w boczne ulice.

Otworzyły się drzwi ratusza i wyjechały wozy strażackie. Kozacy zbierali zabitych. Napełnione trupami wozy z głuchym łoskotem, pod strażą kozacką pojechały do kostnicy, spotkawszy w drodze jadącą na głównejsze place artylerję polową.

Tak się skończył pierwszy dzień konstytucji rosyjskiej.